
Leopold Tyrmand – życie na opak

Opracował: Andrzej Dębkowski
Na podstawie: Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954. Wersja oryginalna*. Pruszyński i Spółka, Warszawa 1999



ROK LEOPOLDA TYRMANDA

Leopold Tyrmand

ur. 16 maja 1920 w Warszawie, zm. 19 marca 1985 w Fort Myers – polski pisarz i publicysta, popularyzator jazzu w Polsce

Leopold Tyrmand urodził się 16 maja 1920 roku w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Dziadek ze strony ojca, Zelman Tyrmand, był członkiem zarządu warszawskiej synagogi Nożyków. Ojciec, Mieczysław Tyrmand, miał hurtownię skór. Matką Tyrmanda była Maryla Oliwenstein. Jego rodziców podczas wojny wywieziono do Majdanka, tam zginął jego ojciec. Matka przeżyła wojnę, wyjechała do Izraela. Tyrmand nie ukrywał, że pochodzi z rodziny mieszczańskiej, ale nie wspominał o swoim pochodzeniu; na kartach *Dziennika 1954* rozważał skandynawską etymologię swojego nazwiska. Dopiero w latach 70. stwierdza, że być może stworzył je po prostu Ernst Theodor Amadeus Hoffmann (który w XIX wieku wymyślał nazwiska warszawskim Żydom).



Ślubna fotografia rodziców Leopolda, Mieczysława i Maryli Tyrmandów, Warszawa, rok 1919

W 1938 roku Tyrmand ukończył warszawskie gimnazjum im. A. Kreczmarę na Wilczej, po czym wyjechał do Francji, gdzie rozpoczął studia na wydziale architektury Academie des Beaux Arts. Pomimo trudnych warunków materialnych, w jakich się znajdował – aby zjeść śniadanie, chodził na treningi koszykówki, gdzie graczom dawano coś do zjedzenia – Paryż wywarł na nim ogromne i niezapomniane wrażenie. Z rocznego pobytu wywiózł dwie wielkie namiętności swojego życia – apoteozę zachodnioeuropejskiej kultury mieszczańskiej i fascynację amerykańską muzyką jazzową, tak zwanym jazzem tradycyjnym, którego słuchał w nocnych lokalach Dzielnicy Łacińskiej, gdzie grywały dziesiątki murzyńskich jazzmanów.



Plakaty reklamujące koncerty jazzowe

Wybuch wojny zastał Tyrmanda w Warszawie, skąd po kilku tygodniach przedostał się do Wilna. Wyjechał sam. Inteligentny i błyskotliwy, bogaty w doświadczenia roku spędzonego w Paryżu, szybko zdobył popularność w środowisku uchodźców, których pełne było ówczesne miasto. Jak wspomina Franciszek Walicki, który poznał go w tym okresie, przesiadywali godzinami w kawiarni „U Dormana”, gdzie występował jedyny w Wilnie zespół jazzowy. W czerwcu 1940 roku, po zajęciu miasta przez Rosjan, Tyrmand podjął swoją pierwszą w życiu pracę w wydawanym po polsku dzienniku „Prawda Komsomolska”, organie Komunistycznego Związku Młodzieży Litwy.



Leopold Tyrmand w czasie pobytu w Wilnie, lata 1940-41

Do Czytelników!

Otrzymałiśmy następujące pismo:

Kresy Wschodnie, najbardziej od centrum Polski wysunięta część kraju, najbardziej zaniedbana pod względem oświaty i kultury, najbardziej zagrożona czerwoną zarazą, ziejącą ze wschodu — ma pewne prawo do pomocy i opieki od braci Rodaków.

Grono ludzi dobrej woli, stanowiące Zarząd Polskiej Macierzy Szkolnej w Hołobach, poświęca wszystkie wysiłki swe w celu podniesienia kultury i oświaty na tutejszym terenie i w tym celu zakłada teatr amatorski, urządza kursa dokształcające, otworzy już własną świetlicę, bibliotekę, szereg czytelni itd., nie szczędząc — oprócz pracy — i własnych funduszy.

Ponieważ jednak własne siły nie wystarczają, przeto zmuszeni jesteśmy zwrócić się o pomoc do rodaków z całej Polski, wierząc, że prośba nasza nie pozostanie bez echa.

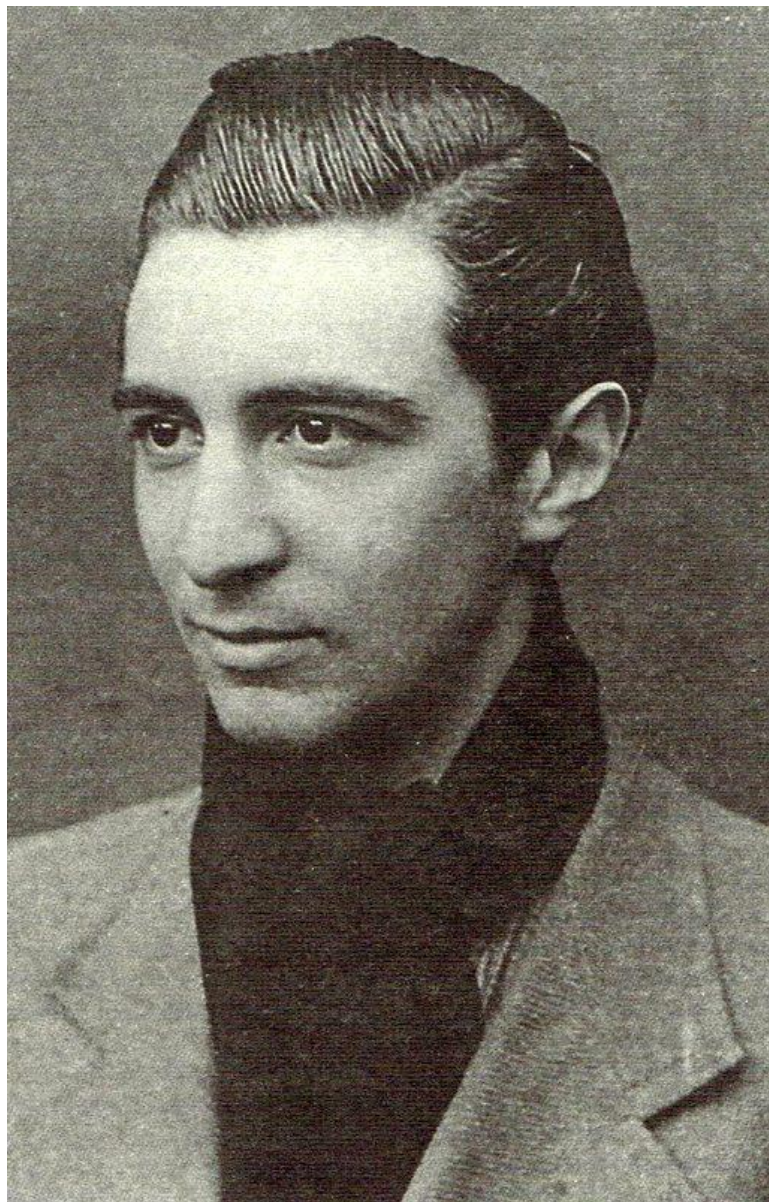
Zgodnie z powyższym, najuprzejmiej prosimy o łaskawą pomoc w pracy naszej w postaci łaskawego ofiarowania pewnej, choćby minimalnej ilości książek dla naszej biblioteki.

Łaskawe dary prosimy nadsyłać pod adresem: „Urząd Gminy Hołoby, powiat Kowelski, dla Polskiej Macierzy Szkolnej“.

Choć Tyrmand przed wojną nie zamierzał poświęcić się pisaniu, literatura i publicystyka należały do jego zainteresowań. Poszukiwał kontaktów z pisarzami – Andrzej Miłosz wspomina, że jeszcze przed wojną poznał go w redakcji dwutygodnika „Orka na Ugorze”. Leszek Zawisza, przyjaciel Tyrmanda z lat wileńskich, pisze w swoich wspomnieniach, że Tyrmand przysyłał korespondencje z Paryża do jednego z warszawskich pism.

W „Prawdzie Komsomolskiej” Tyrmanda uważano od początku za najlepsze pióro gazety. Jako etatowy pracownik pisma, był od lipca 1940 do kwietnia 1941 roku autorem codziennych felietonów polityczno-propagandowych, drukowanych pod stałym tytułem „Na kanwie dnia”, prowadził też młodzieżowy dodatek „Prawda Pionierska” i pisywał artykuły o sporcie. Tyrmand dopiero w 1967 roku przyznał publicznie, że pracował dla komunistycznej gazety. Henryk Dasko tak wyjaśnia ówczesne zajęcie Tyrmanda:

Miał wtedy dwadzieścia lat, był uciekinierem z okupowanej Warszawy, pozbawionym jakiegokolwiek osobistego lub środowiskowego doświadczenia z systemem komunistycznym. Pochodził z rodziny liberalnej, w której nie istniała antyrosyjska tradycja, istniały natomiast żywe sympatie lewicowe, (...) brat ojca, Jerzy Tyrmand, przyjaciel i współpracownik Oskara Langego, był komunistą i w latach dwudziestych przebywał przez dłuższy czas w Rosji.



Wojenna fotografia Tyrmanda. Granatowy szal uniformu Państwowej Szkoły Morskiej,
dostał w Wilnie w 1940 roku od Franciszka Walickiego

Jesienią 1940 roku Tyrmand związał się z jedną z licznych polskich grup niepodległościowych, jakich wiele powstawało na okupowanych terenach. Do konspiracji wprowadził go Waldemar Babinicz, późniejszy pisarz, publicysta i działacz oświatowy, jednak już w kwietniu 1941 roku Tyrmanda i dwóch jego kolegów, Andrzeja Kornowicza i Leszka Zawiszę, aresztowało NKWD. Siedzieli w więzieniu na Łukiszkach, po czym za przynależność do antyradzieckiej organizacji wszyscy trzej zostali skazani w maju na osiem lat więzienia. 22 czerwca, po ataku Niemiec na Wilno, Tyrmand i Kornowicz uciekli z rozbitego bombami transportu kolejowego, którym wywożono więźniów na wschód.

Po wkroczeniu Niemców i powstaniu wileńskiego getta Tyrmand pozostał po stronie aryjskiej. Po kilku miesiącach, na podstawie zaświadczenia o praktyce, jaką odbył w Paryżu w pracowni architektonicznej Marcela Chappeya, udało mu się dzięki konspiracyjnym kontaktom wyrobić dokumenty identyfikujące go jako obywatela francuskiego. Obawiając się rozpoznania i denuncjacji, w lutym 1942 zgłosił się do Arbeitsamtu jako ochotnik na roboty w Niemczech, mówiąc przyjaciółom, że stamtąd będzie miał bliżej do Francji.

W Rzeszy – w Moguncji, Wiesbaden, Frankfurcie nad Menem – i Wiedniu Tyrmand przebywał do połowy roku 1944. Pracował między innymi jako tłumacz i robotnik kolejowy, wiosną 1943 był pomocnikiem bibliotekarza we frankfurckim Kulturamcie, a następnie kelnerem w restauracji „Königshof”. Pod koniec tego roku wyjechał do Wiednia, gdzie pracował w hotelu „Minerwa” jako posługacz, a do jego obowiązków, jak podaje zachowane zaświadczenie, należało „zamiatanie podwórza i trotuarów, a także czyszczenie butów gości hotelowych w godzinach 6:30-16:30, z wyjątkiem niedziel”.

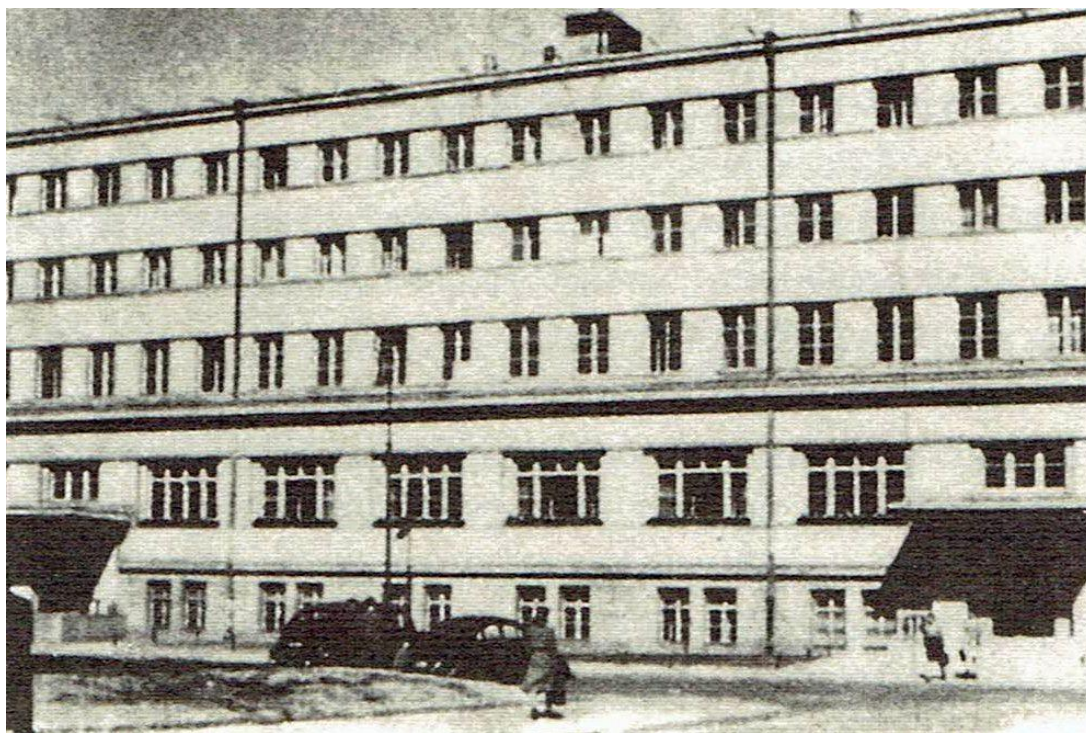


Wiosną 1944 roku Tyrmand wraz ze swoim przyjacielem, Holendrem Pieterem van Diggele, wyjechał do Szczecina. Obaj zamierzali uciec do neutralnej Szwecji, dokąd pływały statki niemieckiej marynarki handlowej. Znalezienie rejsu do Szwecji okazało się niemożliwe, ale wykorzystując swoje kelnerskie doświadczenie Tyrmand zaokrętował się w czerwcu jako steward na niemiecki frachtowiec „Charlotte Cords” – płynący do Norwegii. W norweskim porcie Stavanger uciekł ze statku, lecz został schwytany i osadzony w *Polizeihdftlingslager* w Grini pod Oslo, gdzie doczekał końca wojny.

Na zdjęciu: Tyrmand z grupą przyjaciół we Frankfurcie nad Menem, lato 1943

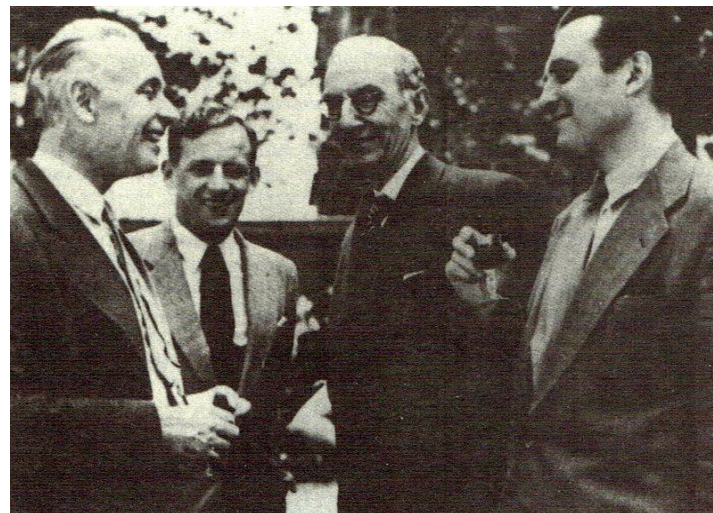
Po wojnie Tyrmand pozostał przez rok w Danii i Norwegii. Pracował dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, był też korespondentem w Norwegii, następnie kierownikiem biura prasowego polskiego poselstwa w Kopenhadze. W kwietniu 1946 powrócił do Warszawy. Spotkał się z matką, która przeżyła wojnę i z którą od kilku miesięcy był w kontakcie listownym. Poza nią z rodziny Oliwensteinów nie ocalał nikt: jej matka i obie siostry zginęły w warszawskim getcie. Tam też zmarli w 1942 roku rodzice Mieczysława Tyrmanda i zginęła jego siostra, Helena, ciotka Leopolda, oraz jeden z braci ojca, Moryc, który sam zgłosił się na Umschlagplatz. Mieczysława i Marylę Tyrmandów wywieziono na Majdanek; tam w maju 1943 roku zginął ojciec pisarza, a matkę przewieziono następnie do obozu w Częstochowie, gdzie wraz z innymi więźniarkami pracowała w fabryce amunicji „Warta”. W Częstochowie zastał ją koniec wojny. Przed zagładą udało się uratować czworgu rodzeństwa Mieczysława Tyrmanda, ukrywającym się po stronie aryjskiej.

W Warszawie Leopold Tyrmand zaczął pracę jako dziennikarz w zorganizowanej przez Jerzego Borejszą Agencji Prasowo-Informacyjnej, ulokowanej w budynku Czytelni na Wiejskiej 16, o kilkaset zaledwie metrów od budynku YMCA, gdzie wkrótce zamieszkał. Niedługo po przyjeździe poznał w „Czytelniku” Kazimierza Koźniewskiego, w tamtych latach dziennikarza „Przekroju”, i pokazał mu swoją pierwszą nowelę, napisaną jeszcze w Norwegii, zatytułowaną „Niedziela w Stavanger”. Koźniewski zawiózł tekst do Krakowa i w maju opowiadanie Tyrmanda, ozdobione ilustracjami, ukazało się w „Przekroju”, najpopularniejszym masowym periodyku polskim.





Paweł Jasienica



Na tarasie polskiej ambasady w Paryżu, lato 1949. Od lewej: Louis Aragon, Jerzy Putrament, Jules Supervielle i Czesław Miłosz



Jarosław Iwaszkiewicz przemawia na Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju, Wrocław 1948



Tyrmand jako dziennikarz „Przekroju” rozmawia z Pabem Picassem na Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju, Wrocław 1948

Koniec kariery Tyrmanda w „Przekroju” nastąpił w połowie roku 1950, po sprawozdaniu z turnieju pięściarskiego z okazji 30-lecia Polskiego Związku Bokserskiego, na który ekipa radziecka przywiozła własnych sędziów. W tekście Tyrmanda o meczu, zakończonym protestami kibiców i interwencją milicji, znalazły się zdania „o stojących na najwyższym poziomie opiniach gwizdzącej, wyjącej i tupiącej publiczności”. Tyrmanda usunięto nie tylko z redakcji tygodnika, lecz również ze Związku Zawodowego Dziennikarzy Polskich. Taka decyzja oznaczała wówczas koniec kariery zawodowej.



Fot. Jerzy Czekajewski

Dzięki pomocy Stefana Kisielewskiego, z którym był w bliskiej przyjaźni, Tyrmandowi udało się jednak znaleźć pracę w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie z braku wolnego etatu dziennikarskiego otrzymał posadę administracyjną oraz prowadził dział recenzji muzycznych i teatralnych. W marcu 1953 roku, po odmowie druku nekrologu Stalina w formie podyktowanej przez władze, pismo obłożono zakazem dalszej publikacji. Znalezienie jakiegokolwiek innej pracy w ściśle kontrolowanym „froncie ideologicznym” było niemożliwe i – jak wielu innych dziennikarzy „Tygodnika” – Tyrmand został bezrobotny. Do wiosny 1954 roku utrzymywał się z dorywczych, przypadkowych zarobków: korepetycji, pisania reklamowych folderów, sprzedaży własnych nowel na scenariusze filmowe. 1 stycznia 1954 roku, nie mając żadnych perspektyw druku, rozpoczął pisanie „Dziennika”.



Redakcja „Tygodnika Powszechnego”. Od lewej: Zofia Starowiejska-Morstinowa, Tadeusz Chrzanowski, Józefa Hannelowa, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz, Leopold Tyrmand, Stefan Kisielewski, ks. Andrzej Bardecki

TYGODNIK POWSZECHNY

KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

Rok IX

Kraków, niedziela 22 lutego 1953

Nr 6 (412)

Ks. KAROL WOJTYŁA

RELIGIJNE PRZEŻYWANIE CZYSTOŚCI

CHRZEŚCIJAŃSTWO — RELIGIA OSOBY

Kiedy zastanawiamy się nad sense istoty chrześcijaństwa jako religii, możemy dojść do wniosku, że jest ono w najpełniejszym tego słowa znaczeniu religią osobową, co powinno rozumieć. Przez religię w ogóle rozumiemy stosunek człowieka do Boga. Z sensem istoty religii wynika, że jest ona takim przejawem życia osoby ludzkiej. Od tej więc strony — podmiotowej — każde religia jest czymś osobowym. Gdy natomiast wstawimy pod uwagę stronę drugą, tzn. przedmiot religii, to wtedy dostrzeżemy właściwą rolę człowieka i jego życie religijne jako osobowe. Życie ludzkie jako całość posiada osobowe Boga jako przedmiot religii, nie daje nam przecież pełnej religii osobowej. Dopiero wtedy, gdy w religii wyrażenie słowo: pomiędzy człowiekiem a Bogiem ukazuje się tak, jak pomiędzy dwoma osobami, możemy mówić o religii „człowiek-osoba”. Zastanawia nas to dopiero tylko w religii objawionej, tzn. wyróżnia z treści Objawienia Bożego Słowo grammatycznie „Objawienie Boże” wprowadza nas do powstania twierdzenia: Gdzie to Bóg jest, Objawienie jest, tzn. w którym Bóg osobowo „objawia” człowieka, gdzie jest Bóg, tam jest i człowiek. Objawienie Boże jest więc tym, co

stawia stale przed człowiekiem jako pewną prawdę i pomaga się wcielaniu jej w życie. Tak tedy w kontaktach chrześcijańskiego życia pojawia się bliźniaczo i najbardziej konkretnie pewność chrześcijaństwa. Między innymi pulsuje ona w czystości.

Jeżeli człowiek w swoim postępowaniu kieruje się pewną zasadą etyczną, to czyni tak dlatego, że uważa jej sens. Gdy chodzi o zasadę czystości, to człowiek jako istota rozumna, unikając w praktyce swojej rozumnej natury, umiarkowanie odrzuca ten sens. W poprzednich naszych rozważaniach (*) staraliśmy się właśnie wypowiedzieć na ten temat sens czystości. Dlaczego „ludzie”? Właśnie dlatego, że wynika z samej roli człowieka jako człowieka i z samej roli człowieka jako człowieka. Jakże to możliwe? Dlaczego „ludzie”? Właśnie dlatego, że wynika z samej roli człowieka jako człowieka i z samej roli człowieka jako człowieka. Jakże to możliwe? Dlaczego „ludzie”? Właśnie dlatego, że wynika z samej roli człowieka jako człowieka i z samej roli człowieka jako człowieka.

Etyczna zasada czystości zawiera w sobie bardzo wiele i jest to przedmiot spotkania wówczas troski o czystość.

Czystość to przede wszystkim etyczna, a nie tylko religijna. Ona opiera się nie tylko na nakazach i zakazach, na autorytecie i sankcjach, że nie efektywność, ale na wartości postępowania, na sposobie postępowania, na sposobie postępowania, na sposobie postępowania. Czystość to przede wszystkim etyczna, a nie tylko religijna. Ona opiera się nie tylko na nakazach i zakazach, na autorytecie i sankcjach, że nie efektywność, ale na wartości postępowania, na sposobie postępowania, na sposobie postępowania.

Mając przed sobą takie zadanie, musimy powiedzieć sobie raz jeszcze, że czystość to przede wszystkim etyczna, a nie tylko religijna. Ona opiera się nie tylko na nakazach i zakazach, na autorytecie i sankcjach, że nie efektywność, ale na wartości postępowania, na sposobie postępowania, na sposobie postępowania. Czystość to przede wszystkim etyczna, a nie tylko religijna. Ona opiera się nie tylko na nakazach i zakazach, na autorytecie i sankcjach, że nie efektywność, ale na wartości postępowania, na sposobie postępowania, na sposobie postępowania.

Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem. Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem.

Bez tego — to znacząco w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem. Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem. Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem.

Nie można więc powiedzieć, że to właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem.

Teraz właśnie pod uwagę to samo zagadnienie w przeżyciu człowieka religijnego. Wtedy, że człowiek tak posiada głęboką świadomość swej zależności od Boga w życie. Ale oprócz tego świadomości o tego jest świadomości o głębi doświadczenia, potrzebę poznania Boga, właśnie, jako nieskończoność. Wiadomości o głębi doświadczenia, potrzebę poznania Boga, właśnie, jako nieskończoność.

Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem. Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem. Ono właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem.

Nie można więc powiedzieć, że to właśnie w przeżyciu religijnym, chociażby samego samego siebie, staje się przedmiotem, a nie tylko przedmiotem.

Frustrację związaną z przymusową beczynnością Tyrmand przełał na łamy *Dziennika 1954*, w którym relacjonuje pierwsze trzy miesiące roku 1954. Jawił się w nim jako przeciwnik komunizmu i ustroju socjalistycznego. Niewiele jednak wspomina o polityce, raczej z sarkazmem piętnuje cywilizacyjne, kulturowe i gospodarcze zacofanie Polski Ludowej. *Dziennik* zawiera również ostre sądy o wielu postaciach ówczesnej sceny kulturalnej. Tyrmand nie szczędzi również opisów swoich własnych przygód miłosnych.

Pisanie *Dziennika* przerwało w kwietniu 1954 zlecenie od wydawnictwa Czytelnik na napisanie *Złego*. Sensacyjną powieść o powojennej Warszawie wydano w grudniu 1955 roku. Szybko stała się bestsellerem, a jej autor – rozpoznawalną postacią. *Złego*, który w wielu miejscach przemycił krytykę powojennych porządków, traktowano jako jeden ze zwiastunów odwilży w polskiej literaturze. Niemniej krytyka przyjęła książkę chłodno.

Lata czterdzieste i pięćdziesiąte to początek legendy Leopolda Tyrmanda, legendy będącej w znacznym stopniu efektem autokreacji, w której *Dziennik 1954* odgrywa istotną rolę. Kwintesencją owego mitu, jak zawsze w takim przypadku zawierającego elementy prawdy i fikcji, była nie tyle twórczość Tyrmanda jako publicysty i pisarza, ile jego niezwykła postać.

„Tyrmand antykomunista, Tyrmand katolik, Tyrmand teoretyk jazzu, Tyrmand sprawozdawca sportowy”, Tyrmand globtroter, Tyrmand playboy, Tyrmand reakcjonista, Tyrmand bikiniarz, Tyrmand filozof, Tyrmand prekursor mód. Tyrmand autor bestsellerów, Tyrmand pielgrzym, Tyrmand owiana legendą tajemnica” – pisał o nim Tadeusz Konwicki, tasując barwne elementy mitu, z których każdy zawierał w sobie część prawdy.



Fot. culture.pl



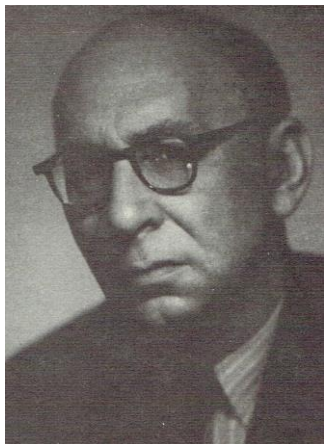
Jacek Woźniakowski



Mieczysław Jastrun



Od prawej: Wiktor Woroszyński, Aleksander Ścibor-Rylski i Nazim Hikmet



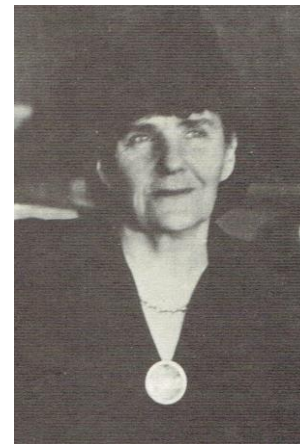
Antoni Słonimski



Marian Brandys



Maria Dąbrowska



Zofia Nałkowska



Stanisław Dygat

Nie sposób zawrzeć nawet szkicowo wszystkich wymiarów Tyrmandowskiej legendy, pustej i niezrozumiałej bez szczegółowego obrazu polskiej i środowiskowej rzeczywistości tamtych lat; nie sposób zsyntetyzować dziesiątków osobistych relacji nasyconych autentyzmem anegdoty i bezpośredniego kontaktu; nie sposób wreszcie podjąć próby konkurowania z piórem samego Tyrmanda, który wiele setek stron *Dziennika* poświęcił konstruowaniu własnego mitu.



Fot. culture.pl

Dla pokoleń, które Tyrmanda nie pamiętają – a książki o nim piszą dziś ludzie z pokolenia dwudziesto- i trzydziestolatków, którzy w najlepszym razie dopiero przychodzili na świat, kiedy Tyrmand wyjeżdżał z Polski – jego legenda wyrasta z autoportretu stworzonego w „Dzienniku”. Utarła się opinia, że Tyrmand zawdzięcza popularność swemu skrajnemu antykomunizmowi. Jest to słuszne tylko po części: programowo antykomunistyczne dzieło Tyrmanda, „Cywilizacja komunizmu”, jest – obok debiutanckiego „Hotelu Ansgar” – jedyną jego książką, która poza jednym podziemnym wydaniem nie znalazła dotąd krajowego wydawcy, nie ma też chętnych na publikowanie ideologicznych diatryb, które pisywał w Stanach Zjednoczonych.

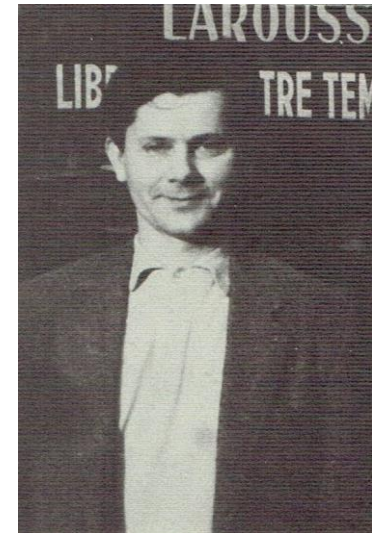
Niechętny Tyrmandowi Józef Hen zauważył nie bez racji, że w *Dzienniku* „nie ma ani słowa o wywózkach, procesach, Tito, Korei, szpiegach, torturach więziennych”. Konflikt Tyrmanda z komunizmem, któremu jest poświęcona większa część *Dziennika*, był konfliktem tyleż ideologicznym, co cywilizacyjnym i estetycznym; zbrukanemu błotem i tępotą, odzianemu w źle uszyty cajtg azjatyckiemu komunizmowi Tyrmand przeciwstawił samego siebie – europejskiego epikurejczyka, wprawnie posługującego się sztuczcami i zadumanego nad eschatologicznymi meandrami mounierowskiego personalizmu. Nakreślona znakomitym, drapieżnym piórem dychotomia Tyrmand-kunizm zaowocowała zarówno plastycznym i barwnym w szczegółach obrazem ówczesnego komunizmu, jak i wspianiałym, nie do odparcia ponętym portretem samego autora.

Stefan Kisielewski, przyjaciel i wielki orędownik twórczości Tyrmanda

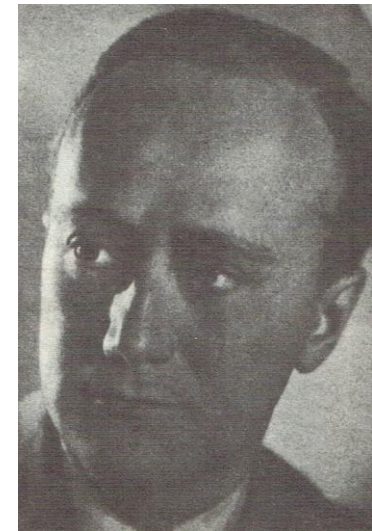
Passa literacka Tyrmanda trwała do roku 1958. Wydał jeszcze pierwszą część minipowieści *Wędrówki i myśli porucznika Stukułki* oraz zbiór opowiadań *Gorzki smak czekolady Lucullus*. Wraz z zaostreniem polityki wewnętrznej przez rządu Władysława Gomułki represje dotknęły też Tyrmanda. Cenzura zatrzymywała mu kolejne powieści, jak *Siedem dalekich rejsów*, odmawiano też wznowień (*Zły* stał się w ten sposób „białym krukiem”). Ostatnią powieścią, którą udało mu się podczas pobytu w Polsce opublikować, był *Filip* (1961). Zgodę na ostatni wyjazd za granicę otrzymał w 1959 roku, potem odmawiano mu paszportu. Władza piętnowała w ten sposób jego ostentacyjnie „burżuazyjny” styl życia.

Kolejną niewydaną w Polsce powieścią Tyrmanda stało się ukończone w 1964 roku *Życie towarzyskie i uczuciowe*. Piętnował w niej postawy moralne środowiska inteligencji twórczej – pisarzy, dziennikarzy i filmowców – przede wszystkim ich służebną rolę wobec władzy. Pod fikcyjnymi postaciami bohaterów w łatwy sposób można było rozpoznać autentyczne postaci ówczesnej polskiej kultury. Fragmenty książki, będące pamfletem na popularny warszawski salon Ireny Krzywickiej, wydrukowano w (warszawskim) tygodniku „Kultura”. Wywołały one skandal w środowisku literackim.

Paszport otrzymał dopiero w 1965 roku, a z Polski wyjechał 15 marca 1965 roku. Decyzję o powrocie uzależnił od szans na wydanie *Życia towarzyskiego i uczuciowego*. Powieść została jednak zatrzymana przez wydawnictwo, a Tyrmand wydał ją w 1967 roku w paryskim Instytucie Literackim.



Zbigniew Herbert



Kazimierz Brandys

Z Dziennika 1954: Osobiście – bardzo lubię Iwaszkiewicza. Jest to pan postawny, bardzo uprzejmy, bardzo dobrze wychowany. Jest ozdobny i okazały, wewnątrz i zewnątrz, jakby sporządzony ze sztukaterii bardzo wysokiego gatunku. Takim też jest jego piarstwo, jego moralność, jego postawa ideowa. Tkwi w nim i w jego życiowym dziele jakaś dekoratywność i jakiś arywizm, wytworny i trudny – to prawda – a mimo wszystko dorobkiewiczowski. Potężnego wzrostu, o frapującej, oryginalnej twarzy, był w swoim życiu globtroterem i pederastą, dyplomatą i smakoszem, dobrym pisarzem i śmieszną figurą polityczną, indywidualnością i pionkiem. Po sześćdziesięciu latach jest albo sprzedawczykiem, albo głupcem. Tertium – niestety – non datur. A nie wiadomo, co lepsze.

Pamiętam Iwaszkiewicza, człowieka, który z finezji uczynił religię, a z sukcesu etykę, otwierającego w roku 1948 Kongres Pokoju we Wrocławiu – inaugurację najperfidniejszej „piątej kolumny”, jaką znają dzieje. Polski pisarz i esteta, intelektualista i artysta stosunkowo dobrze znany w świecie, firmował w tym momencie jedną z najcieńszych, najfinezyjniejszych i najdoskonalej udanych afer politycznych w historii współczesnej. Takich rzeczy się nie zapomina. Dowodzą tego najlepiej depeze gratulacyjne, jakie nadeszły dziś z Moskwy na adres jubilata i solenizanta. Pełno o nich w gazetach.

Był okres, kiedy Warszawa, a raczej „Warszawka”, sądziła, że zostanie więciem Iwaszkiewicza. Bawiło mnie to niepomieranie. Lubiłem wtedy Marysię Włodkową, córkę Jarosława, interesował mnie jej rzadki już dziś szlif życiowy panny z bardzo dobrego domu. Była akurat po rozwodzie, szukała pociechy po przejściach i tarapatach pierwszego małżeństwa. Ja byłem właśnie po rozstaniu z Rysią. Odetchnęliśmy po naszych przejściach przez paromiesięczną chwilę przy sobie. Potem poznałem ją z moim przyjacielem Jankiem Wołosiukiem, nie wiedząc, że kroję romans. Marycha wyszła za mąż za Janka. I tyle. „Tutti contenti” – jak mówią Włosi. Może zresztą nie wszyscy, gdyż Janek przestał być moim przyjacielem, czego jednak trochę żałuję.



Jarosław Iwaszkiewicz przemawia na Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju, Wrocław 1948



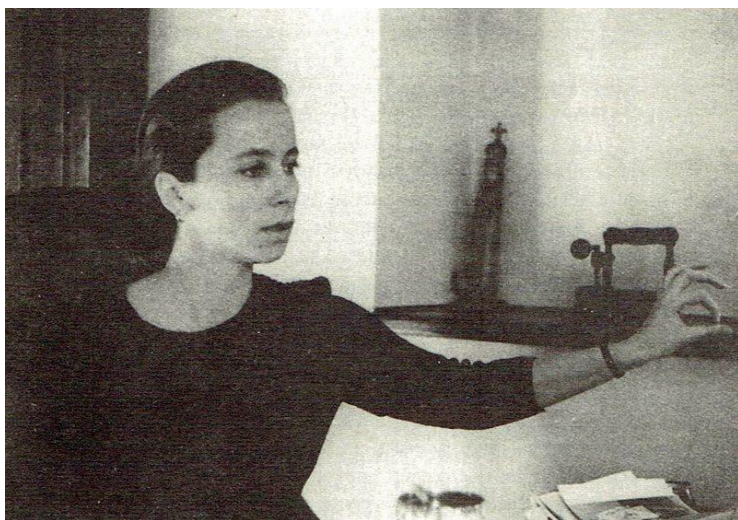
Z pierwszą żoną, Małgorzatą Rubel-Żurowską

W kwietniu 1955 roku ożenił się ze studentką ASP, Małgorzatą Rubel-Żurowską, ich małżeństwo nie przetrwało długo. Drugą żoną Tyrmanda została pod koniec lat 50. dziennikarka „Przekroju” ds. mody, późniejsza projektantka Barbara Hoff.

Pisarz, znany ze swojej bezkompromisowości oraz niekonwencjonalnego stylu życia (słynne były jego kolorowe skarpetki), stał się liderem powstającego ruchu jazzowego w Polsce. Organizował festiwale i koncerty, wydał też monografię *U brzegów jazzu*.

W końcu Wydawnictwo „Czytelnik” zaproponowało mu kontrakt na napisanie *Złego*. *Zły*, wydany w grudniu 1955, okazał się nie tylko największym sukcesem literackim Tyrmanda, w pełni ukazującym jego świetny talent narracyjny i dar obserwacji, lecz również największym sukcesem wydawniczym powojennej prozy polskiej. *Złego* czytali wszyscy; nigdy przedtem ani nigdy potem nie powstała książka, która w podobny sposób elektryzowałaby wszystkie środowiska czytelników; z wyjątkiem Marka Hłaski żaden pisarz nie zdobył tak błyskawicznego rozgłosu. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, na tle wielu świetnych dzieł polskiej prozy, powieść Tyrmanda wyróżniała się jako utwór jedyny w swoim rodzaju, zarówno od strony tematycznej, jak i formalnej. Co więcej, w kapryśnym kanonie powojennej kultury masowej pozycja *Złego* pozostała niezachwiana przez następne dziesięciolecia, będąc równocześnie najtrwalszym źródłem legendy jego autora.

W Polsce trwała odwilż i wielkimi krokami zbliżał się październik 1956 roku.



Barbara Hoff w mieszkaniu na Dobrej w Warszawie

Pomimo wielu artystycznych sukcesów nasilały się szykany administracyjne wobec Tyrmanda. Od kilku lat odmawiano mu paszportu zagranicznego; jego ostatni wyjazd na Zachód w roku 1959 doszedł do skutku tylko dzięki interwencji wiceministra spraw zagranicznych, Antoniego Alstera. Wszystkie kolejne prośby i odwołania odrzucano bez podawania powodów, a w 1963 roku nie zezwolono mu nawet na wycieczkę do Jugosławii. Tyrmand, który prawo do swobodnego przekraczania granic uważał za najbardziej podstawowy warunek normalnego życia, bezskutecznie interweniował we wszystkich możliwych instancjach, ale były to próby przypominające walkę z cieniem. Pozbawiony oparcia w środowisku literackim, którego nie szanował i które odpłacało mu pięknym za nadobne, ponosił kolejne klęski w konflikcie z amorficznymi strukturami władzy. Nieoficjalnie informowano go, że źle widziane są jego kontakty z cudzoziemcami i ostentacyjnie „burżuazyjny” styl życia, wypominano demaskatorski artykuł o Bolesławie Piaseckim, szefie PAX-u, teraz czołowym aliancie Gomułki w podjazdowej walce z Kościołem. Miał uczucie, że zacieśnia się wokół niego pętla, od której nie ma ucieczki. W 1963 roku cieszący się znacznym powodzeniem film Jana Rybkowskiego „Naprawdę wczoraj”, oparty na motywach powieści Tyrmanda *Siedem dalekich rejsów*, wycofano z kin wkrótce po premierze.

W 1964 roku, szukając jakiegokolwiek wyjścia z kafkowskiej sytuacji, Tyrmand zaproponował za pośrednictwem Romana Bratnego fragment *Życia towarzyskiego i uczuciowego* warszawskiemu tygodnikowi „Kultura”. Pismo, redagowane przez Janusza Wilhelmiego, bojkotowała podówczas znaczna część liberalnego środowiska literackiego, uważając je za organ nacjonalistycznego skrzydła partii i moczarskich partyzantów. Wkrótce potem, po sześciu latach bezowocnych i upokarzających starań, Tyrmand otrzymał paszport zagraniczny; po rozmowie z nim decyzję zezwolenia na wyjazd podjął pułkownik Marian Janie, dyrektor gabinetu ministra spraw wewnętrznych, towarzysz partyzanckich wędrówek Mieczysława Moczara, uważany za jego prawą rękę.

Tyrmand opuścił Polskę 15 marca 1965 roku. Wyjeżdżając, nie był pewien, czy pozostanie na Zachodzie, a decyzję powrotu uzależniał od wydania *Życia towarzyskiego i uczuciowego*. Pełnomocnictwa do negocjacji z PIW-em zostawił Barbarze Hoff i Tadeuszowi Konwickiemu, z którym był w bliskiej przyjaźni. Pomimo akceptacji *Życia towarzyskiego i uczuciowego* przez cenzurę – w rękach prywatnych zachował się maszynopis ze stosunkowo niewielką liczbą ingerencji cenzorskich – PIW książki nie wydał.

Tyrmand podróżował po Europie przez kilka miesięcy, sycąc się poczuciem swobody. W Izraelu odwiedził matkę. Prowadził z nią wielogodzinne dyskusje, zastanawiając się bez końca nad emigracją lub powrotem do Polski. Jak się wydaje, decyzję podjął latem 1965 roku: pod koniec lipca odesłał Barbarze Hoff pieczołowicie wyremontowanego opla, którym wyjechał za granicę.

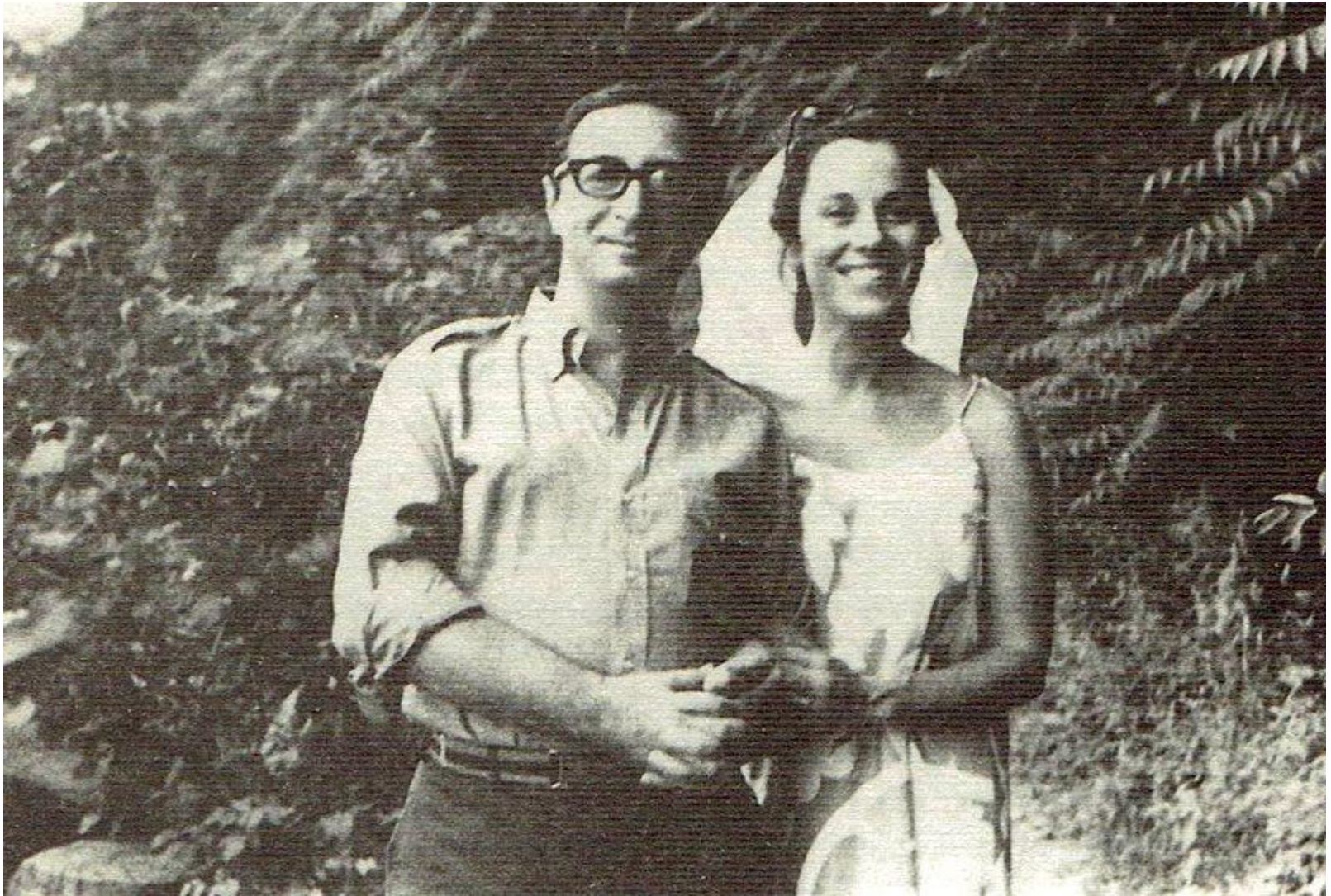
Nie musiał palić za sobą mostów; miał ważny paszport, a w USA oczekiwało go wielokrotnie odkładane stypendium Departamentu Stanu, przyznane mu jako „znaczącej postaci opiniotwórczej”. 20 stycznia 1966 roku wylądował w Nowym Jorku, skąd miał wyruszyć w trzymiesięczną podróż po Stanach Zjednoczonych.

Stany, których Leopold Tyrmand nigdy przedtem nie widział, od wczesnej młodości stanowiły dla niego ziemię obiecaną. Wielokrotnie i z sentymentem opisywał amerykańskie filmy i popularną literaturę przygodową, na których się wychował, a w 1941 roku powtarzał przyjaciółom w Wilnie, że nastał kres cywilizacji europejskiej i na starym kontynencie nie ma już czego szukać. Mawiał też, że z Ameryką czuje się najsilniej związany uczuciowo od chwili, kiedy w 1938 roku usłyszał w Paryżu Ellę Fitzgerald, śpiewającą „A tisket a tasket”. Wyruszając w podróż po USA, rozpoczął kolejny dziennik, w którym zawarł notatki z podróży, początkowo pisane po polsku, a po kilku tygodniach już po angielsku.

Tyrmand, który do końca życia mówił po angielsku z silnym obcym akcentem, obdarzony był wspaniałym talentem lingwistycznym. Jędrna i barwna polszczyzna pozostaje jedną z najlepszych stron jego prozy; we Francji, natychmiast po przyjeździe, podjął studia architektoniczne; na robotach w Niemczech był tłumaczem, a w czasie pobytu w Norwegii szybko nauczył się języka. Jego angielszczyzna, początkowo toporna i pełna błędów, nabierała swobody i rozmachu z tygodnia na tydzień, a notatnik amerykański od pierwszych stron zdradzał instynktowne wyczucie angielskiej frazy.

W czasie podróży po USA, wiosną 1966, Tyrmand podjął decyzję o pozostaniu w Ameryce na stałe. W kwietniu powrócił do Nowego Jorku i postanowił poświęcić się pisaniu. W swoim dzienniku zanotował, że „prawdę o Stanach Zjednoczonych może oddać tylko rodzimy autor”; było logiczne, że zdecydował się zostać pisarzem amerykańskim.

Szybko i z łatwością wchodził w amerykańskie środowisko jakościowo zbliżone do kręgu, jaki otaczał go w Warszawie. W czasie podróży po Stanach poznał w Phoenix, w stanie Arizona, redaktorkę tygodnika „Time”, Beverly De Luscia, która została jego przyjaciółką.



Z przyjaciółką Beverly De Lucia

W listopadzie 1967 roku tygodnik „New Yorker” zamieścił pierwszy tekst Tyrmanda, *Dziennik amerykański*, a fakt ten w znacznym stopniu zaważył na jego amerykańskiej karierze. „New Yorker”, nobliwy, zachowawczy i przywiązany do tradycji, od kilkudziesięciu lat prowadzony przez tego samego redaktora naczelnego, Williama Shawna, uchodził powszechnie za najwybitniejszy periodyk amerykański. Wśród jego stałych autorów znajdowali się między innymi: John Cheever, Truman Capote i John Updike, a także późniejsi nobliści – Saul Bellow i Isaac Bashevis Singer. Pismo otrzymywało ćwierć miliona tekstów rocznie i choć na jego łamach nazwiska autorów pochodzących z Europy Wschodniej pojawiały się dość regularnie, byli to z reguły twórcy tej miary co Vladimir Nabokov, Borys Pasternak czy Nina Berberova. Publikacja szkicu w „New Yorkerze”, w której pomógł zaprzyjaźniony z De Luscia i Tyrmandem współpracownik tygodnika, Gerald Jonas, nobilitowała i otwierała możliwości druku w dowolnym periodyku amerykańskim.

W latach 1967-1970 „New Yorker” wydrukował poza *Dziennikiem amerykańskim* cztery obszernie eseje Leopolda Tyrmanda, zebrane następnie w tomie *Zapiski dyletanta*, wydanym nakładem poważnego wydawnictwa Macmillan. Autor prezentował się czytelnikom jako zwolennik zachowawczych wartości cywilizacyjnych, tradycyjnych w kulturze europejskiej, i ostro protestował przeciwko ogarniającym Stany Zjednoczone tendencjom lewicowym, kontrkulturowym i kontestacyjnym. Jego często powtarzanym mottem stało się zdanie: „Przybyłem do Ameryki, aby bronić jej przed nią samą”.



Tyrmand w okolicach nowojorskiego mieszkania na 83 ulicy na Manhattanie.



Z żoną, Mary Ellen, u przyjaciół w New Canaan, Boże Narodzenie 1974

Zarówno *Dziennik amerykański*, jak i następny tekst Tyrmanda *Zapiski dyletanta*, spotkały się z ogromnym oddźwiękiem czytelników. Do „New Yorkera” nadchodziły dziesiątki listów, których autorzy domagali się odpowiedzi na pytania, kim jest Leopold Tyrmand, co jeszcze napisał i gdzie można jego teksty przeczytać. Profesorowie wyższych uczelni zamawiali po kilkadziesiąt nadbitek jego artykułów, pragnąc użyć ich w programach uniwersyteckich. Tyrmand stał się postacią popularną: pojawiał się w wywiadach telewizyjnych, „New York Times” wykorzystał jego fotografię w reklamie gazety, a jego szkice ukazywały się także w periodykach „Reporter”, „Interplay” i „New Leader”. Wydawało się, że w ciągu paru krótkich lat dopiął celu i stał się pisarzem amerykańskim.

Latem 1970 roku rozpoczął pracę nad obszernym tekstem, zatytułowanym „Zapiski o życiu w komunizmie”, zakupionym z góry przez „New Yorkera”. Szkic, będący kontynuacją i rozwinięciem materiałów, które przygotowywał jeszcze w Warszawie, miał się ukazać w dwóch odcinkach w połowie 1971 roku. Tyrmand planował go jako pamflet na rzeczywistość komunistyczną, szczegółowo opisujący wszystkie aspekty życia w totalitarnym państwie, ostateczny rozrachunek z systemem, który uważał za „najgorszą plagę, jaka spotkała ludzkość”. Zastrzegął się we wstępie, że niektórym z jego czytelników może się wydać, iż „przerysowuje, zniekształca, popada w groteskę i operuje efektem surrealistycznym”. Pisał po polsku, w ośrodku pracy twórczej w Peterborough, w stanie New Hampshire, a przekładu na angielski dokonał sławista z Uniwersytetu Columbia, Harold Segel. Ale wkrótce po złożeniu ukończonego materiału w redakcji, naczelny „New Yorkera”, Shawn, powiedział Tyrmandowi, że tekst nie zostanie wydrukowany.

Decyzja „New Yorkera” stanowiła dla Tyrmanda kompletne zaskoczenie. Od pierwszej chwili uznał ją za uwarunkowaną wyłącznie względami ideologicznymi: odmawiający druku antykomunistycznego traktatu „New Yorker” musiał, *ex definitione*, hołubić kryptolewicowe sympatie. Jak zwykle, rzeczywistość była bardziej skomplikowana.

Tekst Leopolda Tyrmanda, wydany następnie po polsku jako *Cywilizacja komunizmu*, był istotnie bezkompromisowy w swym antykomunistycznym przesłaniu i zawierał wszystko, co pisarz miał do powiedzenia o zniechęconym systemie. Choć niemal każda z opisanych na blisko trzystu stronach druku sytuacji była w jakimś stopniu prawdziwa, nagromadzenie ich w pozbawionej wątku i bohaterów książce nużyło przesycem i monotonią, a metoda skrajnego czarnowidztwa i celowej zapewne deformacji faktów i zjawisk wywoływała skojarzenia z obrazem świata zachodniego w oczach komunistycznej propagandy, tyle że *à rebours*. Życzliwy Tyrmandowi Zimand uznał książkę za najślabszą w całej jego twórczości.

Shawn twierdził, że tekst zatrzymano z dwóch powodów: niskiej jakości warsztatowej i jego wymowy ideologicznego manifestu, który nie odpowiadał profilowi pisma, z założenia apolitycznego. Gwoli prawdy trzeba tu dodać, że pod koniec lat sześćdziesiątych tygodnik ulegał pewnej radykalizacji, a czołową rolę w redakcji odgrywał Jonathan Schell, znany ze swych zdecydowanie lewicowych przekonań. Jak piszą w cytowanej wcześniej książce Sernicka i Gawęcki, polityczna wymowa artykułów Tyrmanda kolidowała z rolą neutralnego komentatora społecznego, w jakiej chciał go widzieć „New Yorker”.

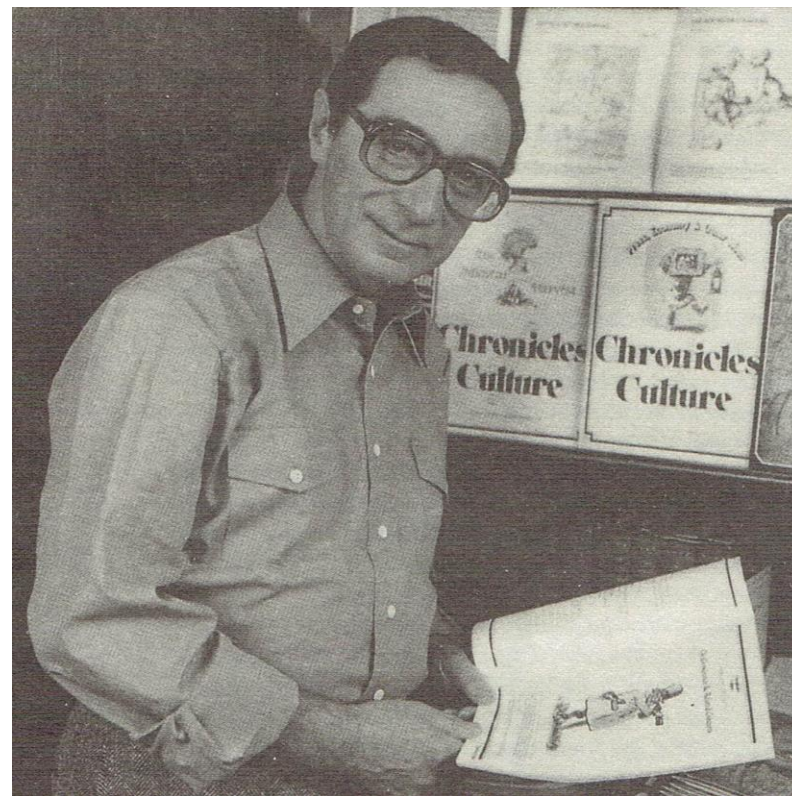
Tyrmand odrzucał jakiegokolwiek argumenty dotyczące poziomu tekstu i odmówił dalszej współpracy z „New Yorkerem”. Uznał, że amerykański *establishment* kulturowy nie różni się w gruncie rzeczy od polskiego – tam również utracano mu teksty i zatrzymano „Życie towarzyskie i uczuciowe”. Sprawa *Cywilizacji komunizmu* zaostriżyła znacznie jego poglądy na zagrażające Stanom Zjednoczonym lewicowe niebezpieczeństwo. Krótko przedtem rozstał się także z paryską „Kulturą”, gdzie publikował po wyjeździe z Polski, a jednym z powodów konfliktu była różnica w poglądach politycznych pomiędzy nim a Jerzym Giedroyciem. Tyrmand uważał związeki „Kultury” z zachodnią lewicą intelektualną za niemoralne, a stosunek Maisons-Laffitte do komunizmu za koncyliacyjny.

„Odejście z «New Yorkera» równało się rezygnacji z udziału w głównym nurcie kulturowym Ameryki”. Dla Leopolda Tyrmanda po raz kolejny nastały ciężkie lata. Amerykańskie periodyki, którym posyłał swoje teksty, teraz traktujące głównie o kontrkulturowych tendencjach zagrażających tradycyjnym wartościom amerykańskim, odrzucały nadesłany materiał. Tyrmand począł postrzegać własną sytuację w kategoriach analogicznych do swego życia w Polsce – prześladowań ideologicznych i zamknięcia łamów dla jego poglądów. Ukuł tezę o zdominowaniu amerykańskich środków przekazu przez „kulturę liberalną”, minimalizującą niebezpieczeństwa komunizmu, promującą relatywizm moralny i niszczącą to, co w tradycji demokratycznej najcenniejsze – prawo do pluralizmu sądów. Zajął się sprawami polskiej mniejszości etnicznej w USA i dużo publikował w londyńskich „Wiadomościach”, gdzie w jednym ze szkiców wysunął inicjatywę stworzenia opiniotwórczego periodyku polsko-amerykańskiego. Z braku poparcia organizacji polonijnych projekt upadł.

Postanowił napisać współczesną powieść moralistyczną, ubraną w niekonwencjonalną formę długiego eseju lub wymiany listów, a próby te ciągnęły się od wczesnych lat siedemdziesiątych aż po lata osiemdziesiąte. W archiwum Tyrmanda w Hoover Institution znajduje się kilkanaście listów od czołowych amerykańskich domów wydawniczych, odrzucających nadesłane im propozycje.

W 1973 roku Tyrmand sięgnął po bruliony *Dziennika 1954* i rozpoczął ich redagowanie. Historia podróży owych ośmiu zeszytów na Zachód nie jest całkowicie wyjaśniona. We wstępie do londyńskiego wydania, a także w rozmowie z Tadeuszem Konwickim twierdził, że diariusz przemycił w skrytce ulokowanej w podwoziu samochodu. Żonie opowiadał, iż rękopis wywiózł z Polski zaprzyjaźniony dyplomata amerykański, co przypomina wersję powtórzoną w prywatnej rozmowie przez Romana Zimanda, według której zeszyty miał przewieźć jeden z korespondentów zagranicznych akredytowanych w Warszawie. Pewne jest, że były w posiadaniu Tyrmanda wkrótce po wyjeździe z Polski, kiedy zdeponował je u Jerzego Giedroycia, który w 1968 roku przesłał bruliony Tyrmandowi do USA.

Tyrmand poświęcił pracy nad *Dziennikiem* wiele miesięcy. Przepisując osiemset stron notatek wprowadził liczne zmiany stylistyczne, a następnie, jak wynika z zachowanego maszynopisu, przeredagował tekst jeszcze trzykrotnie. Miał wręcz nieprawdopodobną łatwość pisania, a rękopis *Dziennika*, płynny i pozbawiony stylistycznych zgrzytów, zawiera minimalną liczbę poprawek, co w tekście o takiej objętości świadczy o rzadkiej sprawności pióra. Zmiany edytorskie oszlifowały liczne partie *Dziennika*, a kluczowe sceny książki, jak legendarny już opis narady sekcji prozy Związku Literatów, omawiającej *Godzinę smutku* Konwickiego, bądź relacja z podróży pociągiem, nabrały w zredagowanej wersji jeszcze bogatszych barw. Najistotniejsze zmiany poczynione w *Dzienniku* mają charakter polityczny. *Dziennik 1954* – zarówno rękopis, jak i opublikowana uprzednio wersja – jest dokumentem jedynym w swoim rodzaju, niedwuznacznym i bezkompromisowym w ocenie rzeczywistości. Pisząc swoje notatki, Tyrmand był zdeklarowanym przeciwnikiem panującego w Polsce systemu.



W Rockford Institute jako redaktor naczelny „Chronicles of Culture”. Koniec lat 70.

Po ukazaniu się szkicu *The Media Shangri-La* z Tyrmandem skontaktował się John A. Howard, były rektor *college'u* położonego w Rockford, w stanie Illinois. Howard, człowiek o zdecydowanie konserwatywnych poglądach i wyznawca fundamentalistycznego metodyzmu, nie mógł się pogodzić z radykalizmem, który w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych opanował nurt życia akademickiego w USA, i opuścił prowadzoną przez siebie uczelnię. Poszukiwał ludzi o podobnych przekonaniach, mogących zasilić nowo założony przez niego ośrodek myśli konserwatywnej o nazwie Rockford Institute. Spotkali się w Nowym Jorku, gdzie Tyrmand wyłuszczył Howardowi swoje pragnienie zorganizowania „bardzo poważnego, literackiego *Journal of opinion*”, którego rolą miało być stworzenie intelektualnej przeciwwagi dla organów liberalnej kultury w rodzaju „New Yorkera”. Erudycja i błyskotliwość pisarza wywarły na Howardzie ogromne wrażenie. Jesienią 1976 Tyrmandowie sprzedali dom w New Canaan i wkrótce pisarz podjął pracę w Instytucie jako wiceprezes i redaktor naczelny periodyków, które Howard zgodził się sfinansować.

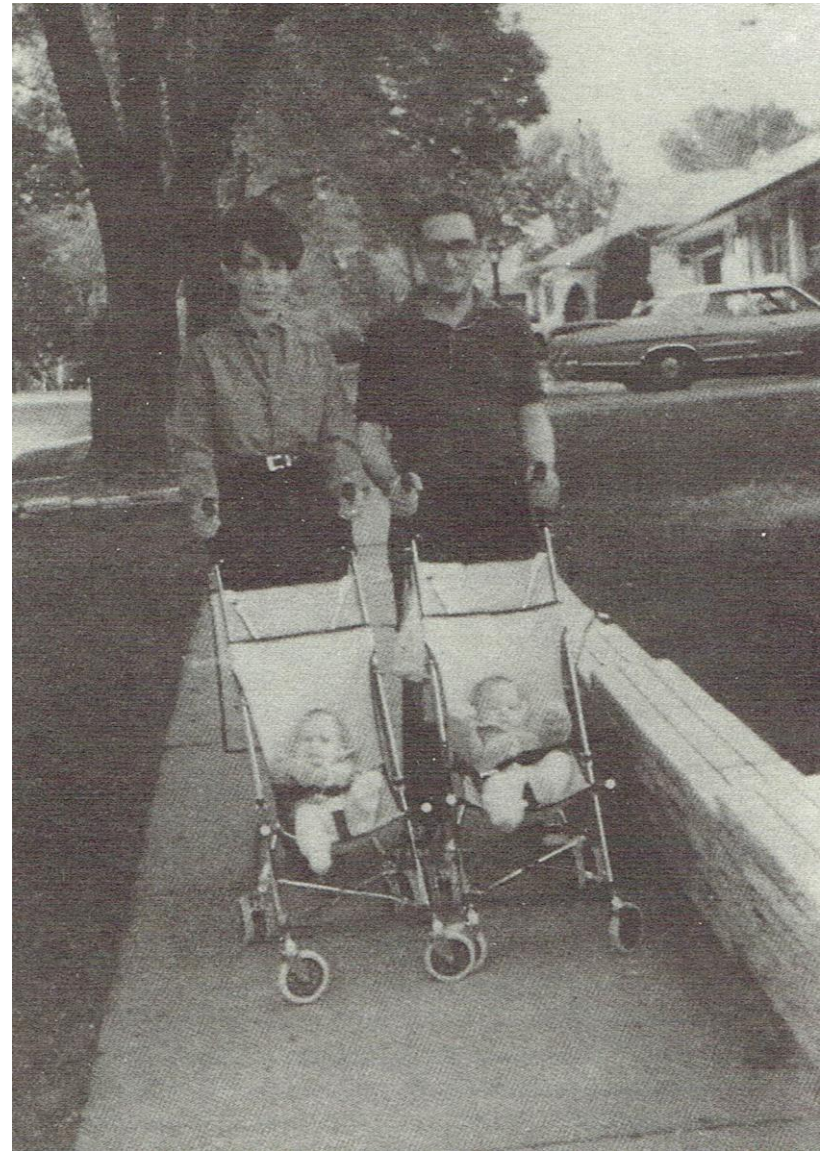
Nie sposób nie docenić publicystycznego doświadczenia Tyrmanda: swe pierwsze kroki stawiał w „Expressie Wieczornym” pod czujnym okiem Rafała Pragi, zasad organizacji nowoczesnego pisma uczył go w „Przekroju” niezrównany Marian Eile, przez kilka lat układał mu rękę w „Tygodniku Powszechnym” dziekan polskich redaktorów, Jerzy Turowicz, a w „New Yorkerze” uczył się sztuki edytorskiej u legendarnego Williama Shawna. Teraz, w Rockford, w samym sercu tradycyjnej Ameryki, której wartości uznał za własne, z pasją zabrał się do przygotowywania nowych pism – nieregularnego periodyku „The Rockford Papers” i dwumiesięcznika, a następnie miesięcznika „Chronicles of Culture”. Okazał się sprawnym i rzutkim organizatorem, tworząc dla siebie platformę, o jakiej marzył, choć trudno uznać, aby były to periodyki, o jakich marzyła Ameryka.

Twórczość samego Tyrmanda stanowiła znaczną część publikacji Instytutu, a misją oprawionych w stylową szatę graficzną „Chronicles of Culture” była walka z cywilizacyjnymi wartościami, propagowanymi przez te amerykańskie ośrodki kulturowe, które uważał za rozsiewniki „kultury liberalnej”. Paradoksem było to, że za główny obiekt swoich ataków Tyrmand obrał nie tak zwany margines szaleńców, kontrkulturowe i radykalne pisma, w jakie obfitowały Stany Zjednoczone, lecz powszechnie szanowane instytucje: wymienione powyżej *mass media*, do których zaliczył „New Yorkera”, nowojorskie domy wydawnicze, kinematografię Hollywoodu, a wreszcie czołówkę pisarzy amerykańskich – Styrona, Cheevera, Yonneguta, Hellera, Rotha, Vidala, Baldwina etc.

Metody polemiczne Tyrmanda z okresu „Chronicles of Culture” muszą budzić najwyższe zaskoczenie. Znienawidzoną „kulturę liberalną” obwołał formą totalizmu, twierdząc, że „kopie grób całej naszej cywilizacji”.

Dziennik „Washington Post”, który Tyrmand w Polsce uważał za ucieleśnienie tego, co w demokratycznej prasie najlepsze, teraz stał się dla niego siedliskiem sowieckich wtyczek. Określenie jego pozycji ideologicznych jako skrajnych musi się wydać eufemizmem: Micka Jaggera, solistę grupy Rolling Stones, którym zachwycał się w Polsce, oraz pisarza Gore Vidala uważał za osobników równie zezwierzęconych, co masowi mordercy – Charles Manson i pastor James Jones ze Świątyni Ludu w Gujanie. O homoseksualistach wyrażał się per dewianci i inwertyci, twierdząc, że cierpią na rodzaj choroby; „nigdy – pisał – ludzkość nie zaakceptuje ich jako osobników normalnych”. Do jednego kotła wrzucał feminizm i terrorystyczne Czerwone Brygady, „New York Review of Books” i hitlerowskie *Blut und Boden*, dewiacje seksualne i Elvise Presleya. Oskarżany w Polsce o pornografię, teraz zarzucał „Playboyowi” deprawatorstwo. Pisarz, który z autentyczną miłością opisywał oglądane w zaplutyh salkach warszawskich kin hollywoodzkie filmy lat dwudziestych i trzydziestych, w USA uznał współczesny Hollywood za jaskinię złą.

Teksty Leopolda Tyrmanda były niełatwe do czytania. Jako autor i jako redaktor, Tyrmand odstąpił od konkretności i anegdoty, operując prawie wyłącznie abstrakcją i rezygnując z bezsprzecznie najmocniejszej strony swojego piarstwa – obserwacji i opisu. Niejasny, pełen sztuczności język, jeszcze bardziej ograniczał zasięg pisma. Nakład „Chronicles of Culture” za czasów Tyrmanda nie przekraczał dwóch tysięcy egzemplarzy.



Tyrmandowie z dziećmi w Rockford, Illinois, maj 1981

Polemika z semantyką Leopolda Tyrmanda, wrzaskliwą i pełną inwektyw, była na dobrą sprawę niemożliwa, niewiele też było poważnych nazwisk, skłonnych firmować tego typu enuncjacje. W czarno-białej, superkontrastowej wizji Ameryki, opartej na dychotomii „wolność-totalizm”, brakowało półcieni. Doktrynerski obraz Tyrmandowskiego świata metodologicznie przynależał nie do zasad demokratycznego dialogu. Jerzy Kosiński, którego skądinąd nie łączyła z Tyrmandem zbyt duża sympatia, nazwał „Chronides of Culture” gazetką ścienną, redagowaną przez politruka antykomunizmu. Ruch konserwatywny, prężny i silny w reaganowskiej Ameryce, nie uznał Tyrmanda za swego, choć niektóre z jego inicjatyw, jak stworzona przez Instytut nagroda Ingersoll Foundation, istnieją i cieszą się uznaniem do dziś.

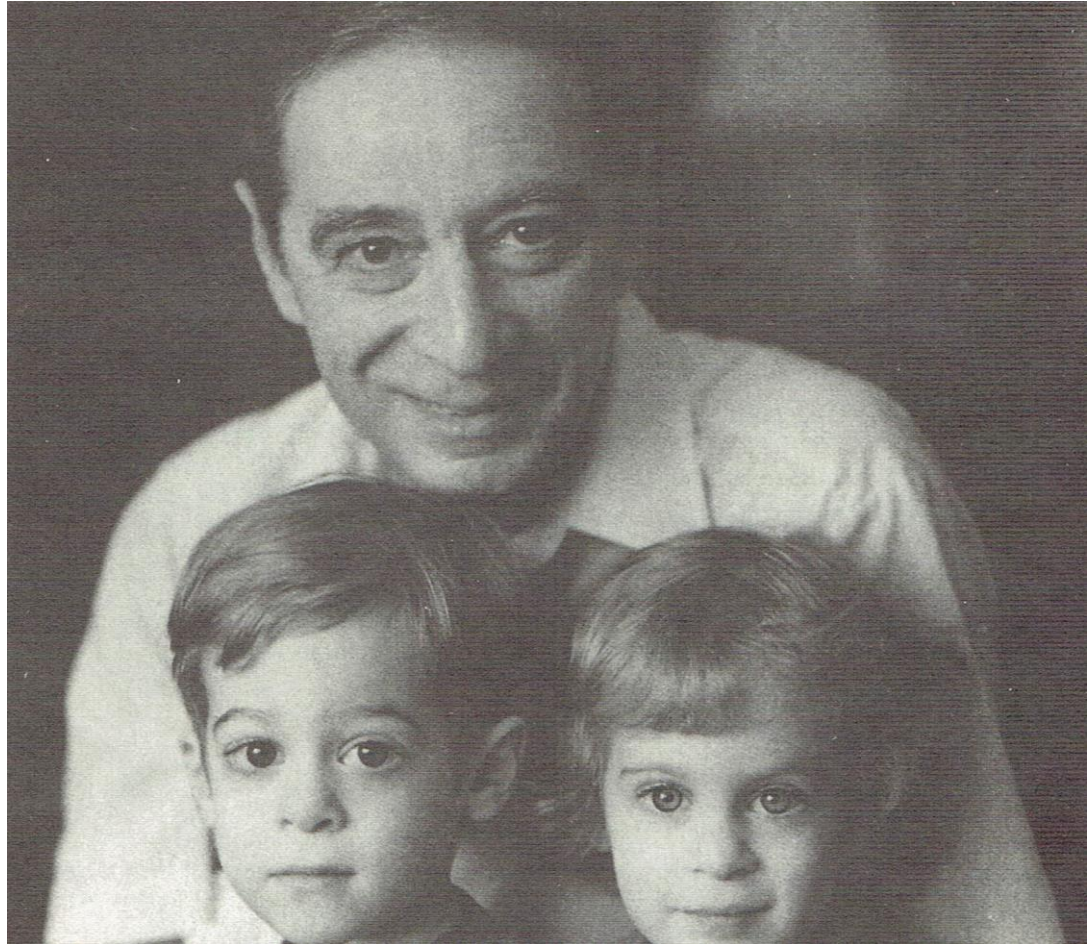
Nasuwa się także kolejna analogia z polską twórczością Tyrmanda – *Dziennikiem i Życiem towarzyskim i uczuciowym*, w których najostrzejszą amunicję przeznaczał nie dla ludobójstwa, łagrów czy, w gomułkowskiej już Polsce z tępotą ortodoksyjnej władzy, lecz rozpraw ze środowiskiem literackim i kulturalnym.

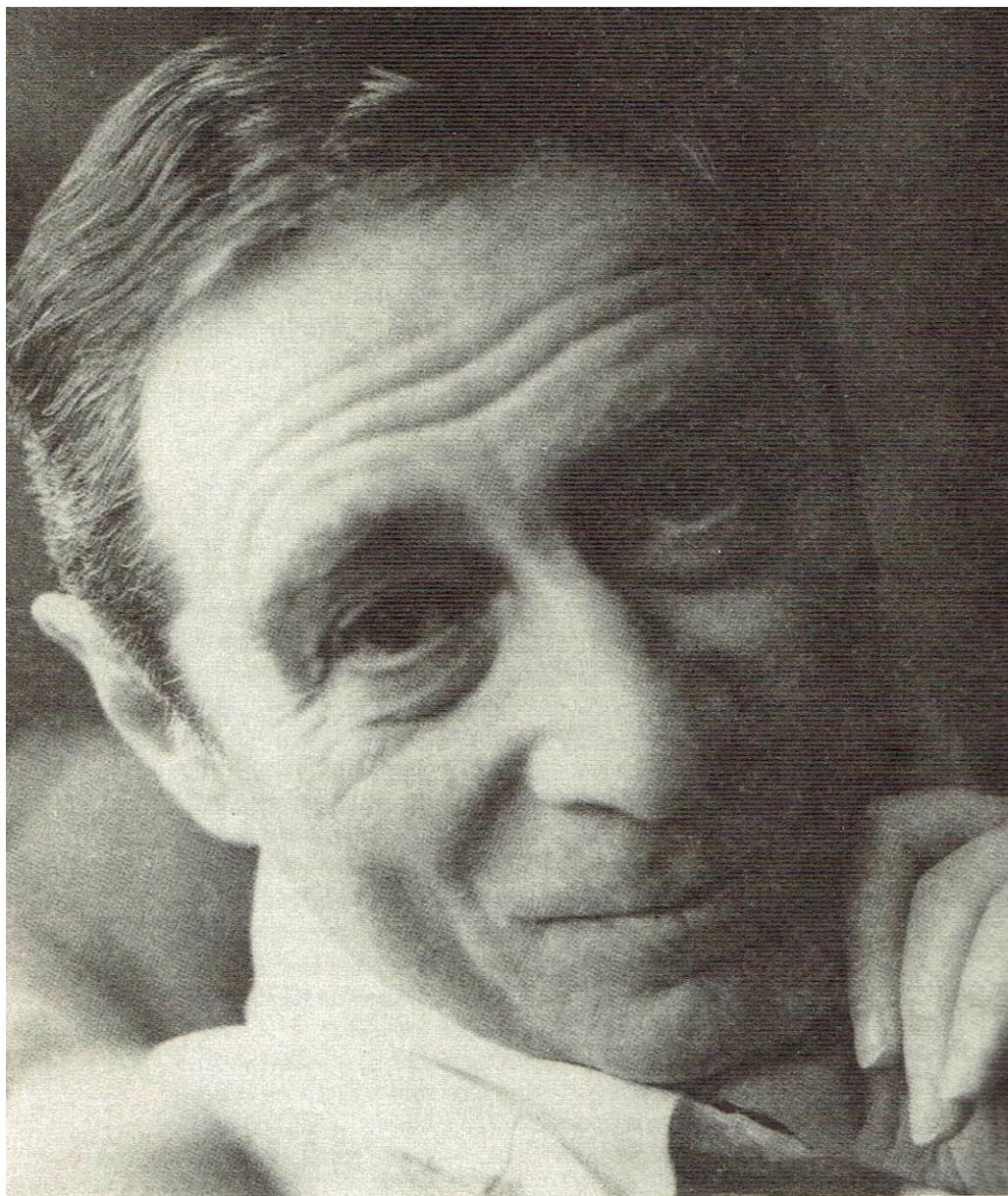
Był człowiekiem pełnym głęboko zakorzenionych fobii, urazów, resentymentów i kompleksów, ale było w nim przecież znacznie więcej. „Był moim mentorem i przewodnikiem po życiu” – napisał o nim Tadeusz Konwicki – „przez prawie dziesięć lat rozstawaliśmy się tylko po to, żeby krótko się przespać”. „Był moim guru” – mówi o nim zwięźle Elżbieta Czyżewska. Był nieodłączną i ważną częścią krwioobiegu inteligentkiej Warszawy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, hardo przetrwał stalinizm, ale tonął powoli w szlamie lat Władysława Gomułki, który z inteligencją polską potrafił zrobić to, co nie udało się Józefowi Stalinowi.

Niełatwo z nim polemizować. Słowa spływały mu spod pióra zbyt łatwo i obce mu były męki pisarzy, spędzających tygodnie nad pustą kartką. Nie musiał długo obracać myśli, zanim znalazła się na papierze. Zostawił po sobie wiele słów, zdań, stron, bez których pamięć o nim byłaby zapewne mniej kontrowersyjna. Ale natura obdarzyła go wspaniałym talentem beletrysty: na swoich najlepszych stronach potrafił ukazać życie barwniejszym, niż było w rzeczywistości. Tacy pisarze nie zdarzają się często.

Nie był pisarzem wybitnym, choć bardzo tego pragnął. Był jednak pisarzem ważnym, bo pozostawił po sobie przynajmniej dwa dokonania: *Złego* i *Dziennik 1954* – bez których w naszym powojennym piśmiennictwie zaistniałaby luka, jakiej żadne inne książki nie zdołałyby wypełnić. Swojego talentu nie uszanował, a własną pasję, nie tylko intelektualną, ale także i twórczą, pragnął wyładować jako moralista i komentator społeczny. Jednakże narzędzia i warsztat ludzi piszących moralitety i analizy muszą być inne niż narzędzia autorów powieści, a jego wizja rzeczywistości była zawsze wizją po części powieściową, pozbawioną niezbędnego dystansu i obiektywizmu, bez których każdy komentarz i ocena tracą sens.

W jego życiu było kilka istotnych spraw, z którymi nie potrafił się rozliczyć, a pominięcie ich tutaj stanowiłoby zarówno nieuczciwość, jak i historyczny fałsz. Do chwili wyjazdu z Polski świadomie kamuflował swoje pochodzenie i własną tradycję zasymilowanych, świeckich Żydów polskich, do której powrócił w Stanach Zjednoczonych.





W *Dzienniku* zastanawiał się obszernie nad rzekomo skandynawską etymologią własnego nazwiska, a rozmówcy Mariusza Urbanka, autora biografii Tyrmanda, cytują, iż podawał się za kurlandzkiego barona.

Ludzie bliscy Tyrmandowi w ostatnim okresie jego życia podkreślają, że był człowiekiem szczęśliwym. W styczniu 1981 urodziły mu się bliźnięta, Rebecca i Matthew, którym poświęcił się bez reszty, a pod koniec 1984 roku zamieszkał w nowo wybudowanym domu. W niespiesznym dobrobycie i anonimowości prowincjonalnej Ameryki czuł się u siebie i nie tęsknił za szybciej biegnącym czasem Nowego Jorku czy Warszawy. Zmarł nagle, 19 marca 1985 roku, podczas pierwszych od wielu lat wakacji w Fort Myers na Florydzie, a przyczyną śmierci był rozległy zawał serca.

Nie był również tak osamotniony, jak to w *Dzienniku* opisywał: do 1957 roku mieszkała w Warszawie siostra ojca, Irena, a w roku 1963 zmarł stryj, którego Tyrmand pochował na cmentarzu żydowskim w Warszawie. Fakty te utrzymywał w tajemnicy nie tylko przed przyjaciółmi, ale nawet przed ówczesną żoną.

Tyrmand w domu w Belvidere, Illinois, październik 1983

Po doświadczeniach krematoryjnych pieców były to wśród polskich Żydów zachowania nierzadkie i nietrudne do zrozumienia. Konwicky, który wiedział o nim więcej niż rzesze jego czcicieli i zastępy przeciwników, pisał, że „Tyrmand z całą rozpaczą, najskrzętniej ukrywaną, przeobraził się w rosnącego blondyna o jasnym spojrzeniu, w przedwojennego reakcjonistę, w zachodniego światowca, w demonstracyjnego przeciwnika narzuconego ustroju”.

Interesujący jest fakt, że pomimo urazu do poruszania spraw osobistych Tyrmand bez żadnych zastrzeżeń opisywał swój katolicyzm, ważną część duchowego autoportretu, jaki stworzył w *Dzienniku*. Z tego również czyniono mu zarzut, posądzając o koniunkturalizm; religia, miast stanowić autentyczną wiarę, miała być jedynie elementem pieczołowicie budowanego kostiumu opozycjonisty. Dowodem tej tezy był rzekomy „powrót do judaizmu” Tyrmanda po wyjeździe z Polski. Nie jest to zgodne z prawdą. W latach pięćdziesiątych Tyrmand traktował religię w sposób niezaprzeczalnie poważny, a chrzest przyjął w czerwcu 1951 w warszawskiej parafii św. Wawrzyńca. Barbara Hoff wspomina rozmowy z matką Tyrmanda, która twierdziła, że już przed wojną jego ciągoty do katolicyzmu były przedmiotem troski w świeckiej skądinąd rodzinie. Choć po wyjeździe z Polski Tyrmand definitywnie rozstał się z katolicyzmem, do śmierci pozostał człowiekiem bezwyznaniowym.

Dziwi także fakt, że w ciągu czterdziestu powojennych lat nieustannie podkreślenia własnej nieskalanej postawy w walce z komunizmem Tyrmand ani jednym słowem nie wspomniał wileńskiego epizodu, choć przez wiele lat żył w otoczeniu ludzi świetnie owe czasy pamiętających – Andrzeja Miłosza, Remigiusza Szczęsnowicza, Franciszka Walickiego. W końcowej partii *Dziennika*, wyliczając w najdrobniejszych szczegółach rozmaite zawody, jakie w życiu uprawiał, pominął milczeniem swój pierwszy etat dziennikarza. Jedynie w szkicu „Porachunki osobiste”, drukowanym w paryskiej „Kulturze” w marcu 1967 roku, wspomniał jednym zdaniem o „Prawdzie Komsomolskiej”, pisząc, iż jako konspirator był tam dla kamuflażu reporterem sportowym. Trudno uznać, by dla człowieka, ostentacyjnie eksponującego swój spiszowy profil antykomunisty, było to wyjaśnienie wystarczające. Co więcej, w swoim biogramie, opublikowanym przez Rockford Institute, Tyrmand napisał, że „za udział w polskim ruchu oporu zapłacił pobylem w stalinowskim obozie koncentracyjnym”. Jest to nieprawda.

Lubił się widzieć ideologiem, ale jego domeną i namiętnością była kontestacja. Jak wielu kontestatorów, potrafił drażnić arogancją, manierycznymi pozami, snobizmem, nieraz przekraczającym granicę dobrego smaku. Ale częścią jego legendy jest także niezwykła odwaga, której dowody niejednokrotnie dawał w życiu. Ale o tym, to już w *Dzienniku 1954*.

1 stycznia 1954.

Rano, waz poroc postanawiam rozpocząć ten dziennik, w imię Boże rozpoczynam ten dziennik, jak zawsze to robię z racji świąt, początków, rocznic i innych powodów do metafizycznych sentymentów, rozrzewnień i w ogóle przy każdej okazji, jaka się do tego nadaje, Okazje są dwie. Data. 1 - w imię Boże, zacznijmy wreszcie ten dziennik!

Jakże trudno jest pisać dziennik.

W nikiem, kto się do tego nie brał, nie może skryształizować się pojęcie tych trudności. Dopiero chęć i zamiar takiego pisania, zmierzone noniuszem możliwości i umiejętności, dają w rozliczeniu rzut oka i wgląd w owe trudności. Jest to przy tym wgląd perspektywiczny, zacierający swoistość kamienistego do przemyślenia szczegółów. No, bo i jak tu oddać mikrokosmos myśli, doznań, odczuć i paletę wrażeń narastających się w psychice człowieka w ciągu jednego dnia? Nie można się tu

1 stycznia 1954

Rano raz jeszcze ukorzyłem się przed Bogiem. W imię Boże rozpoczynam ten dziennik, jak zawsze to robię z racji świąt, początków, rocznic i innych powodów do metafizycznych sentymentów, rozrzewnień i w ogóle przy każdej okazji, jaka się do tego nadaje, Okazje są dwie. Data. 1 - w imię Boże, zacznijmy wreszcie ten dziennik!

Jakże trudno jest pisać dziennik. W nikiem, kto się do tego nie brał, nie może skryształizować się pojęcie tych trudności. Dopiero chęć i zamiar takiego pisania, zmierzone noniuszem możliwości i umiejętności, dają w rozliczeniu rzut oka i wgląd w owe trudności. Jest to przy tym wgląd perspektywiczny, zacierający złożoność koniecznego do przewyciężenia szczegółu. No, bo i jak tu oddać mikrokosmos myśli, doznań, odczuć i paletę wrażeń narastających się w psychice człowieka w ciągu jednego dnia? Nie można się tu... (...)

Rok 2020 – Rokiem Leopolda Tyrmanda
